

Agata Araszkiwicz

Cywilizacja Zuckerberga

Przez parę lat pisałam blog i wciąż jeszcze zdarza mi się do niego tęsknić albo układać w głowie nowe posty. Od długiego już czasu nie jestem jednak w stanie regularnie pisać. Nie tylko dlatego, że moje życie trochę się zmieniło (pojawily się dzieci), ale tak naprawdę (zaraz po urodzeniu córki – pięć lat temu) padłam ofiarą hakera, który „ukradł” mi zdjęcia z większości wpisów. Był to cios, po którym nie jestem w stanie podnieść się do dzisiaj. Szok i poczucie niepowetowanej straty przez wiele, wiele miesięcy mnie nie opuszczały. Blog zaczynałam pisać jako technofobka, za namową jednego z przyjaciół, wówczas kuratora warszawskiego Centrum Sztuki Współczesnej, Adama Mazura (w tym miejscu oddaję mu hołd). Wiele miesięcy minęło, zanim go w ogóle uruchomiłam, a kreowanie kolejnych wpisów poprzez manipulowanie technicznym zapleczem on line budziło we mnie skrajne przerażenie (prześladował mnie lęk, że następnego dnia nie będę umiała powtórzyć serii kolejnych czynności, że na pewno czegoś zapomnę). Umieszczenie zdjęcia albo linku wideo z pewnością powodowało u mnie wzrost poziomu stresu, porównywalny z dużą traumą. Po pewnym czasie sprawy techniczne opanowałam w takim stopniu, że mogłam swobodnie pisać.

Wyjechałam wtedy do Paryża i była to doskonała forma komunikacji „ponad granicami”, rodzaj dziennika podróży, zarówno geograficznej, jak i wewnętrznej. To w moim blogu „Flaneriaa” zrodziło się moje specyficzne rozumienie miasta i kultury miejskiej jako przestrzeni demokratycznych transgresji, które śledziłam w kulturze popularnej, modzie, reklamie, a przede wszystkim w sztuce współczesnej. Luźny notatnik, pisany językiem czasami intelektualnie wymagającym, odnalazł śmiało, jak się okazało po jakimś czasie, całkiem sporą grupę czytelników (oczywiście nie umiałam sprawdzać statystyk). Haker (lub legendarny hacker), o którym wiem wszystko (że nazywał się Obi One Can Obi i pochodził z Nikaragui i że zaatakował serwisy Yahoo, w tym flickr, gdzie umieszczałam swoje zdjęcia), nie tylko zniszczył blog, ale także zaatakował boleśnie moje świeże poczucie technicznej pewności. Jego atak był masowy, więc byłam ofiarą anonimową i bez znaczenia. Pamiętam, że nie mogłam w to uwierzyć.

felietony

Gdy zaczynałam pisać blog, jakieś dziesięć lat temu, panowało przekonanie, że informacje umieszczone w sieci „nigdy” nie zginą i że, wbrew pozorom, świat wirtualny jest bardziej solidny od świata materialnego. Z najlepszą wiarą i pewnością przez wiele miesięcy wydzwaniałam z płatnego telefonu do coraz wyższych szczebli serwisantów Yahoo, bazujących w moim rozumieniu gdzieś pod Los Angeles, błagając o pomoc w przywróceniu zdjęć. Im wyżej dzwoniłam, z coraz większą asertywnością dowiadywałam się, jak ponownie wejść na spiratowane konto, i coraz bardziej żelazna uprzejmość kreowała pytania w stylu: jak jeszcze mogę pomóc? W sytuacji, w której pomoc mi nikt nie chciał i nie umiał. Warto dodać, że „ukradzione” zdjęcia fizycznie ciągle w komputerze miałam (w świecie wirtualnym kradzież jest także wirtualna), jednak ponowne „zawieszenie” ich na flickr oraz „włożenie” ich do postów zajęłoby mi pewnie ze dwa lata. Zrozumiałam wtedy jedno: muszę się pogodzić z utratą i zaakceptować moją ogromną ułomność – informatyczną technofobię.

Ludzie z mojego pokolenia wyobrażali sobie w dzieciństwie komputer jako maszynę wielką na całą ścianę i skomplikowaną w obsłudze niczym zarządzanie podstawą komunistycznej gospodarki, czyli kopalnią. Dziś kopalnie dawno upadły, a nasze dzieci w połowie swoich zabawek mają komputery wielkości główki od szpilki. My zaś musimy nadrobić ów techniczny postęp, jeśli nie skok, który dokonał się za naszego życia. Nie lubię siedzieć przez ekranem komputera, nie lubię surfować w sieci, nie cierpię bawienia się smartfonem. A jednak – piszę tylko na komputerze (inaczej nie słyszę swoich myśli), większość informacji wyszukuję w sieci (przy pisaniu ostatniej książki i tłumaczeniu cytatów z francuskiego na polski albo tytułów okazało się to nieocenione), pół nocy spędzam na Facebooku, leżąc z moim telefonem w łóżku... Właściwie to stało się już niekwestionowanym faktem – sieć jest równie sprawcza, rzeczywista i wiążąca co realny świat.

Obejrzałam niedawno hollywoodzki film zatytułowany *Jobbs* z Ashtonem Kutcherem w roli głównej. Jest on filmową alternatywą dla bestsellerowej biografii Steve’a Jobbsa, założyciela firmy Apple. Film nie jest najlepszy – może przez przerysowaną grę Kutchera, a może dlatego, że w informatycznej rewolucji trudno jeszcze wytyczyć jej najbardziej wartościowe linie postępu. W filmie *Jobbs* jest chodzącym boso (Kutcher właściwie parodiuje tu słynny kaczy chód komputerowego potentata), lekkim socjopatą, już od czasów kampusu kreowanym na geniusza. Nie bardzo można zrozumieć jednak, na czym ten geniusz ma polegać. Jak każdy geniusz, ma on moment „zdradzenia przez najbliższych”; jak każdy geniusz, potrafi odrodzić się jak feniks z popiołów. Nie udało się pokazać w tym filmie, na czym polega rewolucja Apple. Bo że chodzi w niej o to, że parę gostków z gąrażu staje się miliarderami, jest jasne. Ale jakie to ma znaczenie, prócz krzepiącego *role model*, dla potomności? *Jobbs* miał obsesję estetyki (i tu punkt dla niego) i obsesję skoncentrowaną wokół pewnego rodzaju wygody intuicyjnej. Chciał kreować swoje maszyny nie tylko jako przyjemne wizualnie, funkcjonalne obiekty, ale też jako takie, które – łatwe w użyciu – „zgadują” życzenia swojego właściciela, pracują intuicyjnie. Każdy, kto używa iPhone’a albo komputera Apple’a wie, o czym mówię. Żyjemy zalewani gadżetami, których moc przerosła fantazje naszych dziadków, jednak używanie całego zasobu możliwości większości z nich przekracza nasze kompetencje. *Jobbs*, przewidująco, chciał to pokonać – kreując maszynę wygodną jak piękna, dopasowana rękawiczka. W obecnych

felietony

czasach spod znaku cyborga, czasach rewolucji nowych technologii – jest to rzeczywiście jeden z najbardziej sensownych kierunków rozwoju myśli technicznej.

Ale jedno mi w tym ogromnie przeszkadza. iPhone pozostaje „męskim” gadżetem (potwierdza to w statystyce potocznej znacznie wyższa liczba uzależnionych od „dziubania” w telefonie mężczyzn niż kobiet), gdyż jako taki został stworzony. Powstał jako „zabawka” dla (męskich) dorosłych, jego cel „kompaktowej” przyjemności zawsze był dużo bardziej egoistyczny niż relacyjny czy społeczny. iPhone’y i iPode’y są – jak sama nazwa wskazuje – skupionymi wokół „I”, czyli „ja”, przyrządami o ściśle konsumpcyjnym, jednostkowym, indywidualnym charakterze, podlegającymi wszystkim prawom kapitalistycznego rynku i marketingu. Ich wygórowanej cenie towarzyszy marketingowo rozpowszechnione przekonanie o ich rewolucyjnej doniosłości (choć żywię nadzieję, że jest ono więcej warte niż wyczerpujące się po paru miesiącach baterie tych przedmiotów). Pisałam tu kiedyś o początkach Facebooka, który zanim przerodził się w najważniejszy portal społecznościowy, był pierwotnie stworzonym przez zawiedzionych młokosów programem do kampusowego porównywania studentek, „która jest większą laską”. Ów zabawowy rys maskulinistycznej przyjemności gadżetowej jest podstawowym wyróżnikiem najbardziej kultowych współcześnie przedmiotów marzeń masowej konsumpcji.

Tymczasem wracając do kwestii dzieci, informatyczna legenda głosi, że Steve Jobs nigdy się nie zgodził, aby jego córki i syn używali iPode’a czy nadmiernie korzystali z internetu. Uważał, że to ogranicza wyobraźnię i czyni podatnym na uzależnienia. Choć jestem ogromną fanką teorii typu „feministyczny cyborg” Donny Haraway (pokazującej, w jaki sposób sieciowość transformuje i emancypuje tożsamość), współczesną rewolucję informatyczną, tę, z której najwięcej na co dzień korzystamy, ciągle tworzą chłopcy... dla chłopców. Wierzę w ogromne możliwości cywilizacji Zuckerberga, jak nazywam internetowo-informatyczną sferę od nazwiska twórcy Facebooka, ale jej znaczenie trzeba ciągle na nowo definiować. Szybkość, łatwość i przyjemność świata wirtualnego jest wyzwaniem dla nowych sposobów kreowania i wartościowania znaczeń. Za każdym razem, kiedy piśzę coś na moim iPhone (choć przyznaję, że jest przyjemniejszy i łatwiejszy w obsłudze niż dotychczasowe moje aparaty), okazuje się, że używam słownictwa dużo bardziej rozbudowanego i skomplikowanego, niż przewiduje to standardowy słownik. Czuję się więc niedopasowana. Być może smartfony nie są dla humanistów?

Wyobrażam sobie świat przyszłości, w której wszystkie biblioteki będą zdigitalizowane, a kąciki regałów z książkami będą funkcjonować na podobnej zasadzie jak antyczne meble. Oczywiście będzie to ulga dla nadmiernie eksploatowanych zasobów naszej planety. Jednak podobnie jak mój blog pozostawał z ducha XIX-wieczny i nigdy nie stał się interaktywny (z wiadomych przyczyn...), i ja, stojąc jedną nogą w tradycyjnej cywilizacji Gutenberga, a drugą nieśmiało wyciągając w przestrzeń cywilizacji Zuckerberga, prawdopodobnie zatrzymam się w tym zachowawczym rozkroku i książkę dostrzegę moimi wewnętrznymi oczami dopiero wtedy, gdy stanie się ona realnym przedmiotem. Być może nie cierpię siedzieć przed ekranem komputera, choć siedzę, lecz nigdy nie nauczę się przekreślać wirtualnych kartek. Kto wie jednak, czy głębszym zadaniem i sensem dla humanistyki nie jest jej perwersyjna rola stawiania oporu wobec technokratycznej rewolucji.